

## Zbrodnia Wołyńska

Źródło:

<http://zbrodniawolynska.pl/zw1/swiadcowie/148,Bery-kosu-bery-niz-i-na-Lacha-relacje-ocalalych-z-rzezi-wolynskiej.html>

Wygenerowano: Wtorek, 26 września 2017, 00:21

### „Bery kosu, bery niż i na Lacha...” – relacje ocalałych z rzezi wołyńskiej

„Trudna pamięć” – tak metaforycznie określane są świadectwa ludobójstwa Polaków zamieszkujących Kresy II Rzeczypospolitej: Wołyń i Małopolskę Wschodnią. Relacje świadków tamtych wydarzeń uzmysławiają głęboki sens tej metafory, zarówno w warstwie słownej, jak i – przede wszystkim – wizualnej, ze względu na okazywane przed kamerą emocje. Nie tylko trudne i traumatyczne kwestie są specyfiką przedstawionych poniżej relacji, ale przede wszystkim fakt, że narracja prowadzona jest przez osoby, które w 1943 roku miały po kilka i kilkanaście lat. Gdybyśmy zadali sobie pytanie, co pamiętamy z naszego życia, gdy mieliśmy po dziewięć, dziesięć lat, to czy odpowiedzią byłyby tak szczegółowe narracje?

Bohaterami niniejszego opracowania jest pięć osób: Anna Szumska, Jan Michalewski, Jadwiga Majewska, Kazimierz Kobylarz, Zygmunt Jan Borcz – mieszkańcy różnych miejscowości na Kresach Wschodnich. Napięcia w relacjach polsko-ukraińskich dostrzegano jeszcze przed wojną, jednak dominowało przekonanie, że stosunki sąsiedzkie układają się poprawnie.

Anna Szumska (ur. w 1919 roku), najstarsza z grona prezentowanych tu świadków, pamięta, że w polsko-ukraińskich Borkach k. Lubomla... „Z Ukraińcami żyliśmy po sąsiedzku, dobrze, jak sąsiad z sąsiadem. Jedne do drugich chodzili. Moja stryjeczna siostra wyszła za mąż za Ukraińca, a ślub brali i dzieci chrzcili w kościele [rzymskokatolickim]. I tak się układało, że na polskie święta zapraszano Ukraińców, a na ukraińskie Polaków”.

Ojciec Jana Michalewskiego (ur. w 1938 roku) w Hucisku Brodzkim... „Pamiętał czas, kiedy ukraiński gospodarz [...] miał święto, to sąsiedni Polak nie młócił ani nie rąbał drewna w poszanowaniu święta ukraińskiego. I ten Ukrainiec odwzajemniał się podobnie polskim sąsiadom”.

Jeszcze w czasie wojny, gdy zabudowania gospodarcze ojca Anny Szumskiej po ataku Niemiec na Związek Sowiecki zostały zniszczone, spotkali się ze współczuciem i pomocą ukraińskich sąsiadów. „A to zboża dali i krowom paszy na zimę. Przychodzi jeden Ukrainiec i mówi: »Chodź, mam siana, to se nabierzesz furę«. Przychodzi za jakiś czas drugi: »Dostaniesz kartofli z kopca«. I jakoś to leciało. Ale za jakiś czas było gorzej, zaostrzało się. Z innych wiosek przychodził ktoś i mówił, że w niej rodzinę wybili. Na pytanie kogo zabili, odpowiadali »Lachiw«. Już nie mówili »Polaki« tylko »Lachiw byty« [bić Lachów]. Cóż to takiego »Lachy«? My nie rozumieli tego”.

Kiedy zaczynał się rozwijać ukraiński nacjonalizm, Jan Michalewski miał kilka lat. Tego nie zapamiętał dokładnie, ale doskonale zachował w pamięci jego krwawe symptomy: „Do naszej wioski przyszły sygnały, że w Jesionowie – była to wioska gminna – zamordowano dwóch synów kierownika szkoły. Wracali ze stacji. Rodzice się ich nie doczekali. Rano znaleziono ich pobitych i nieżywych. To już u nas w Hucisku było wiadomo, że się zaczyna ukraiński nacjonalizm. Następną sprawą było zamordowanie księdza Walczaka [prawdopodobnie chodzi o ks. Piotra Walczaka z parafii Ławrów (pow. Turka), który został pobity przez nacjonalistów ukraińskich, wrzucony do studni i tam żywcem zasypany kamieniami]. Pochowano go na cmentarzu w Hucie Pieniackiej. Za trumną szło około trzy

tysiące ludzi, jak mówią, ja tego dokładnie nie pamiętam, korowód był bardzo długi. [...] Mama opowiadała, że mało kto się oparł, żeby nie płakać, kiedy zdejmowano tę trumnę i wsadzano ją do grobu. Był to uczynny i przyjazny dla wszystkich narodowości ksiądz”.

W latach 1941–1942 Niemcy przeprowadzili przy pomocy policji ukraińskiej całkowitą likwidację ludności żydowskiej tych terenów. Anna Szumska była bezpośrednim świadkiem mordowania Żydów z Lubomla. „Zobaczyłam, jak szucmany gonią całą gromadę Żydów. Jeden tylko Niemiec idzie z psem. [...] Niedaleko mojej wioski Borki robili cegły i tam ich pognali, i tam rowy pokopane były, i tam ich bili. [...] Na drugi dzień przychodzi ukraiński sołtys, żeby ktoś wyszedł tych Żydów zakopywać. [...] Z każdego mieszkania ktoś musiał iść”. Zgłosiła się z innymi kobietami ze wsi. Gdy zasypywały jeden rów ze zwłokami, przyprawiono kolejną grupę Żydów. „Kazali nam schować się za górkę. Niemiec nas pilnuje, żebyśmy nie wyglądały. Słyszałam strzały i upadek ciał. Po chwili przyszedł szucman i mówi: »No wychodzić, zasypywały!«. Ukraińscy policjanci strzelali do Żydów i zmuszali kobiety do szybkiej pracy. A Niemiec nie poganiał, stał i patrzył się”.

Rozprawienie się z Polakami, stanowiącymi na tych terenach mniejszość, stało się od tego momentu najważniejszym celem ukraińskich nacjonalistycznych ugrupowań: Ukraińskiej Powstańczej Armii i Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. Do ludobójstwa Polaków przystąpiono na Wołyniu w 1943 roku, a w Małopolsce Wschodniej kulminacja nastąpiła w 1944. Znaczący był w tym również udział duchowieństwa. W wielu miejscowościach prawosławni (a w Małopolsce Wschodniej – greckokatolicy) duchowni urządzali akty poświęcenia narzędzi, którymi byli mordowani Polacy. Anna Szumska, łamiąc zakaz ojca, wraz z cioteczną siostrą wybrała się do sąsiedniej wsi Horodno, aby zobaczyć, po co spotykają się tam Ukraińcy: „Zachodzimy, tam masa ludzi. Koło jeziora jakiś ołtarz zrobiony, batuszka [ksiądz prawosławny] już jest. A ludzi masa, furami pozajeżdżali, z daleka. Stanęliśmy koło Ukrainki i słuchamy. Batuszka modlił się. A ludzie, mężczyźni, przeważnie coś w rękach mają. Ten ma siekierę, ten ma nóż, ten ma kosę, ten ma jakieś widły. [...] Ten batuszka modli się, obraca się do ludzi: »Ukraina! Przeszło czas twojej własności«. Taką naukę im dawał i wreszcie mówi tak: »Bery kosu, bery niż i na Lacha i ryż...«. To znaczy, żeby szli rznąć tych Polaków. I my tak stoimy. Podchodzi do nas ukraiński chłopak, kolegował się kiedyś z moim bratem, taki Andriej. Podchodzi do nas: »Dziewczęta, co wy tutaj robicie? Uciekajcie. Jak ktoś pokaże, że wy Polki, to już do domu nie wrócicie«”.

Najcenniejsze i jednocześnie najtragiczniejsze w swej wymowie są relacje ocalałych osób, które były świadkami zagłady Polaków. Dzisiaj to osoby w podeszłym wieku, dające świadectwo dziecięcych ofiar ludobójstwa. Ta dziecięca perspektywa pamięci o zbrodni wołyńskiej jest, o dziwo, bardzo szczegółowa, wręcz detaliczna, czasami sucha i lapidarna. Kazimierz Kobylarz (ur. w 1928 roku) 12 lipca 1943 roku zapamiętał bardzo dokładnie – miał wtedy piętnaście lat. „Zaczęła się palić okoliczna wioska Maria Wola, graniczyła z Ułanówką. Poszła tam moja siostra z koleżanką Martykówną do krawcowej przymierzyć jakieś tam kostiumy. Ale już nie wróciła. [...] Uciekliśmy razem z gospodarstwa: ojciec, matka, bratanek, ja i starszy brat Tadzik i brat Staszek. Uciekliśmy na dół w zboża. Tam żeśmy się ukryli”. Po pewnym czasie ojciec Kazimierza Kobylarza postanowił wrócić z matką i bratankiem do domu. Po drodze zostali zatrzymani przez Ukraińca z karabinem i ukraińskiego sąsiada Kulisza. Kazimierz wraz z braćmi podczołgali się pod niemiecki cmentarz, położony niedaleko ich domu. „Naraz słyszymy krzyk ojca: »O Jezus Maria!!!«. I chyba tak z dwa

razy krzyknął i cisza. Strzału nie było. Za chwileczkę słyszymy, jakby głos ukraiński: »I dawszczob wona perekynułas'«. Coś takiego. I był strzał. O bratanku nie słyszeliśmy. Więc jak już był ten strzał i ojciec krzyknął, to my spod tego cmentarza niemieckiego czołgaliśmy się, żeby ewentualnie pomóc ojcu. W międzyczasie przechodzimy drogą, co koło Kulisza idzie. [...] I słyszymy rechotanie szprych jezdnych, konnych i jedzie ich cała kawalkada. Myśmy się w tym zbożu zatrzymali od tej drogi w odległości trzech, pięciu metrów. Padliśmy, brat nakazał, żeby nawet nie oddychać głośno. Przejężdżali i widać było, jak siedzą na furmankach, mieli karabiny, pepesze, było te lufy widać. [...] jak oni przejechali, to myśmy się przez tę drogę przeczołgali i poszliśmy pod górkę na gospodarstwo. [...] Brat zauważył, że ojciec leży zamordowany. [...] Szukamy matki. Matka leżała przed domem, prawdopodobnie schowała się, i wyszła, kiedy usłyszała, jak krzyczał, widocznie chciała mu pomóc. No i dostała. Tu była kula [pokazuje na prawy policzek] i w tym gdzieś miejscu jej wyszła [lewą rękę unosi na wysokość lewego ucha]. Leżała na wznak. Bratanka nie znaleźliśmy, szukaliśmy go. Prawdopodobnie uciekł do zboża, miał dziewięć lat”.

Zagrożenie narastało, po chwili rozpoczęły się wystrzały. Kazimierz wraz z braćmi musiał ponownie uciekać. O miejscu pochówku rodziców i losie bratanka dowiedział się dopiero po latach: „Opowiadała mi Sikorska [sąsiadka], jak ściągała z Kalinowskim moich rodziców, że chowali ich tak, jak mogli: wykopali dół, włożyli w prześcieradło. I mówi: »Tego Bolusia« – mojego bratanka – »to znalazłam w zbożu. Miał postrzał w kostkę. I jak zmarł, to trzymał w ręku zboże«. Zmarł chyba z wycieńczenia, z upływu krwi”.

Jadwiga Majewska (ur. w 1933 roku) w lipcu 1943 roku miała niespełna dziesięć lat. Była świadkiem tragedii w Hucie Stepańskiej. „Ciągle wracam do tych wydarzeń z 16 lipca 1943 roku, jak musieliśmy się wszyscy zgromadzić w szkole. To była ta słynna samoobrona, to był początek obrony. W szkole było bardzo dużo ludzi, także spoza Huty Stepańskiej. [...] Byliśmy tam do 18 lipca, a potem wyszedł rozkaz, żeby się wycofać do Sarn, bliżej kolei, tam, gdzie byli Niemcy. [...] Szybko wróciliśmy do domu, każdy co mógł, to wziął. Tylko ja nie zdążyłam wejść na furmankę, bo postanowiłam jeszcze wrócić do domu po mój obrazek, który dostałam na Pierwszą Komunię. Biegłam za furmanką, ale było bardzo dużo ludzi. [...] Mama krzyczała i wyciągała ręce, żeby mnie wciągnąć na ten wóz, ale nie zdążyłam. Widziałam bardzo dużo pomordowanych. Pamiętam, że napadnięto na nas w trakcie tego wycofywania się. Jak słyszałam te krzyki i strzały banderowców: »Urra, urra, rezać Lachy«, to ja ze strachu przeskoczyłam przez rów, bo zobaczyłam, że niektórzy uciekają do lasu. [...] Tam zgubiłam but i ten obrazek. Uciekałam w sukieneczce, w której byłam przyjęta do Pierwszej Komunii, tylko przefarbowanej na niebiesko. [...] Zobaczyłam wtedy kobietę z rozciętym brzuchem, nieżywą, przy niej dziecko siedziało, płakało. Widziałam też innych martwych ludzi. Gdy biegłam do lasu, zobaczyłam mojego wujka, brata ojca, który biegł z narzeczoną – złapała mnie za rękę i tak żeśmy szli dzień, noc i jeszcze dzień, aż do Sarn”. Jadwiga Majewska pod opieką wuja i ciotki dotarła następnie do Równego. Przez jakiś czas żyła w przekonaniu, że zginęła cała jej rodzina. „I wtedy się okazało, że przyszła wiadomość, że rodzice żyją i są w jakimś obozie w lesie. I ta osoba, która przywiozła tę wiadomość, zabierze mnie do nich. Z powrotem pojechaliśmy do Sarn. Tam czekała na mnie sąsiadka. Byłam mocno zdziwiona, dlaczego w lipcu jest ubrana w futro. Pamiętam, że jak mnie powitała, to otuliła mnie tym futrem. Dopiero potem się dowiedziałam, że jak się ucieka, to bierze się to, co ma się najcenniejsze”.

Mordowani byli również Ukraińcy przychylni Polakom. Ostrzeżenie i ukrywanie Polaków, niezgodę na zabójstwa sąsiadów OUN/UPA uznawały za zdradę i kolaborację z wrogiem. Również ci, którzy mieli za żonę Polkę lub Polaka za męża, mogli stracić życie. O takim zdarzeniu opowiada Anna Szumska: „Moja kuzynka [stryjeczna siostra] po sąsiedzku mieszkała w naszej wiosce. Jej mąż był Ukrainiec. Jak uciekaliśmy, to mój ojciec mówił do niego: »Kumie, uciekajcie, bierzcie dzieci i uciekajcie«. »Oj nie, ja nie będę uciekał. Mam dwóch braci, mam dwóch szwagrów Ukraińców, oni mnie obronią, nie dadzą mnie«. Jak przyszli mordować, to rodzina nawet nie wiedziała, że go zabili. [...] Na dworze był, przyszli i siekierą głowę rozwalili. Zaszli do mieszkania, żona na łóżku spała. Jak uderzyli kobietę w głowę siekierą, to chłopak – miał może dziewięć albo dziesięć lat – zerwał się i krzyczał: »Stepane, ne byj mene! Ja tobi dam chliba«. To znaczy, że znajomy był, bo dziecko znało go. A ten, jak machnął siekierą po głowie, chłopak zwał się na podłogę. A najstarsze dwa chłopaki, jeden miał chyba dwanaście lat, drugi czternaście, to na piecu spali, to oni ocaleli. [...] Bali się złączyć. Rano, jak przyjechali Niemcy, zaczęli wynosić z mieszkania matkę i chłopaka. Gdy zobaczyli, że wszystkich wynoszą, to któryś ze strachu krzyknął”.

Jan Michalewski (ur. w 1938 roku) 13 lutego 1944 roku miał sześć lat. Napad ukraiński zniszczył całkowicie jego wioskę Hucisko Brodzkie. „Okolo południa, była to niedziela, zaczęła się ogromna strzelanina i zaczął się zamęt w naszym domu. Najpierw wsadzili mnie z tym kuzynem Jankiem do kufra, takiego zamykanego. A sami zaczęli podpierać takim dyszlem drzwi, że jak będą wyłamywać czy strzelać, to żeby nie wyważyli tych drzwi. [...] Myśmy zaczęli krzyczeć w tym kufrze. Otwarli ten kufer i wtedy ktoś powiedział: »Bierzcie dzieci i uciekajcie«. I stryjenka wzięła mnie i swojego synka Janka pod pachę, pomogła nam wyjść z domu i zaczęliśmy uciekać w stronę Wołoch, to była sąsiednia wioska, mieszana, polsko-ukraińska. Już czuć było zapach [spalenizny], już było słychać strzały, był okropny zamęt dookoła nas. I nas prowadzono takim wąwozem, zrobiła się nas grupa ludzi – około trzydziestu, czterdziestu osób – i tym wąwozem dotarliśmy do sąsiedniej wioski. I tam, pamiętam, rozścielono słomę. I pamiętam, jak wieczorem przywieźli ojca nieprzytomnego, zakrwawiony był po lewej stronie, i położyli ojca w rogu tego mieszkania na słomie. I ojciec tylko co około pół godziny jęczał: »Dobijcie mnie«. Mama płakała i zwilżała mu wargi. A myśmy z tym bratem stryjecznym Jankiem klęczeli i odmawiali pacierze. [...] Chciałem zobaczyć brata Tadeusza, to było na drugi dzień po napadzie. Musiałem mocno płakać, że dziadek mówi: »To chodź, to ci pokażę«. I ten obraz mam w oczach bardzo wyraźny. Brat leżał na takim, na Kresach mówiło się: werecie, a to był koc w kratę. Dziadek odchylił koc i widziałem miejsce, gdzie pocisk wszedł w główkę powyżej policzka i tutaj [pokazuje skroń] był ślad, jakby ktoś nożykiem zaciął – tu gdzie pocisk wszedł. A drugiej strony nie chciał mi pokazać, odwinąć całkowicie tej drugiej strony. Tam ponoć główka była cała strzaskana. Po tych oględzinach zawinął ciało i włożył do takiej skrzynki. Pamiętam, zarzucił karabin, wziął tę skrzynkę pod pachę i poszedł na cmentarz pochować”.

Ojciec Zygmunta Jana Borcza (urodzonego w 1931 roku) był kierownikiem szkoły w Rakowcu, położonym 20 km od Lwowa. „W Niedzielę Palmową w 1944 roku [pomyłka świadka; zajścia, o których opowiada, miały miejsce 26 marca 1944 roku, czyli tydzień przed Niedzielą Palmową] poszedłem na sumę do kościoła. [...] Ojciec został z bratem w szkole, obudziły ich strzały. Pod oknem stał człowiek z automatem i strzelał do uciekających z kościoła ludzi. Uciekli od razu do lasu. Ja byłem w kościele, w zakrystii. Ksiądz [Błażej Jurasz] mówił kazanie i nagle zrobiło się cicho. Widzę,

jak ksiądz biegnie z ambony do zakrystii. Odryglował drzwi na zewnątrz, a ja za księdzem. I tam stał na śniegu Ukrainiec i strzelił do księdza. Ksiądz się wyrócił. Potem dowiedziałem się, że ksiądz został ranny. Kościelny złapał mnie za kołnierz i wrzucił z powrotem do zakrystii. Pytam się kościelnego: »Co się z nami stanie?«. A on mówi: »Nic. Zarzną nas«. Zobaczyłem, że za ołtarzem jest dziura, w której schowali się ludzie, ja już się nie zmieściłem. Ukraińcy stali przed głównym wejściem za oszklonymi drzwiami z karabinami wymierzonymi w ludzi, którzy leżeli na podłodze. Kobiety nosiły wtedy takie duże chusty i wszystko leżało na ziemi. W tym momencie zobaczyłem, że z chóru ludzie wchodzą jeszcze wyżej. Rozpędziłem się, wbiegłem do przedsionku, gdzie stali Ukraińcy, i otworzyłem drzwi na chór. Poleciałem do góry. A tam już wciągali drabinę i krzyczeli: »Wciągać drabinę, bo banderowcy lecą za nim!«. Ktoś jednak opuścił mi drabinę. Podskoczyłem, złapałem się wciągnęli mnie wyżej. W taki sposób znalazłem się na strychu. Ludzie chowali się na belkach. Byłem za mały, aby się wspiąć. Zauważyłem szczelinę między połacią dachową, wszedłem w nią i podszedłem aż pod sam ołtarz. Był tam jeszcze chłopak, który umiał po ukraińsku. Ukraińcy weszli na górę i strzelali do ludzi. Słysząc było strzał i pac! – uderzenie ciała o ziemię. Świecili latarkami i chcieli wejść, a trzeba było tam wejść na brzuchu. I ten chłopak mówi po ukraińsku: »Mamy noże, to gardła wam poderżniemy«. I nie weszli. W kościele, po tych krzykach i wrzaskach, zrobiła się cisza. Po jakimś czasie, nie wiem jak długim, usłyszeliśmy wołanie jakiejś pani: »Już nie ma Ukraińców, poszli do lasu z ludźmi«.

Dalszy ciąg tej historii podają inne źródła. Kolumnę wiernych bojówkarze UPA poprowadzili na rzeź. Podczas próby ucieczki zabili kilka osób. To, co wydarzyło się potem, pokazuje drugą stronę relacji polsko-ukraińskich. Wiemy dzisiaj, że dzięki postawie greckokatolickiego księdza Bereziuka i sołtysa Ptasznika udało się wykupić Polaków i tym samym uratować im życie. Właśnie dlatego pamięć o zbrodni wołyńskiej jest trudna.

oprac. Rafał B. Pękała

## Galeria zdjęć

